

I

Jake siedział w swoim boksie i wpatrywał się nieruchomym wzrokiem w pełzającego po szklanej podłodze robaka. Zdawał sobie sprawę, że to, co za chwilę nastąpi, będzie sprawdzianem jego umiejętności. Choć wszyscy uważali, że nic z niego nie będzie i na pewno nie dostanie się do finału, starał się wierzyć do końca, że uda mu się spełnić marzenia.

I proszę: trochę determinacji, samozaparcia i jestem. Teraz możesz być ze mnie dumny staruszk.

Jedyną osobą, która nigdy nie zwątpiła w jego możliwości, był przybrany dziadek. Kiedy rodzice Jake'a zginęli w niewyjaśnionym, jak dotąd, pożarze, wszystko stało się inne. Odtąd świat był szary, a ludzie niemi i bezkształtni. Nic nie cieszyło siedmioletniego chłopca. Żadna zabawka, szturchaniec kolegi czy koleżanki. Letnie upalne popołudnia spędzał w swoim dziesięciometrowym pokoju z jednym łóżkiem, małym stolikiem i kolorową figurką w ręku. Od czasu do czasu wyjrzał tylko przez okratowane okno, uśmiechnął się do swojego niewyraźnego odbicia i znów pogrążał się w kilkudniowej melancholii. Opiekunowie sierocińca starali się, aby ten czas, kiedy mieszkał w placówce, upłynął mu pod znakiem szczęśliwości. Jednak nic nie było w stanie przyćmić kotłującej się w duszy żądz zemsty.

Widział tę osobę. Znał ją. Pamiętał.

Miał w głowie wyraz twarzy, jaki przybrała, gdy wpatrywała się w pożogę trawiącą jego rodzinny dom.

Lecz pewnego dnia wszystko się zmieniło, w pewną ciemną, grudniową noc, spotkał go. Najpierw przechadzał się z wolna po korytarzu, zaglądał do różnych pokoi, a czasem pogłaskał przebiegające obok niego dziecko, niezdarzące sobie jeszcze sprawy z położenia, w jakim się znalazło. Uśmiechał się wtedy tak beztrosko.

Pewnej nocy, gdy cały sierociniec już spał, a na korytarzu tliły się tylko małe, czerwone lampki, delikatnie, prawie bezszelestnie, niczym unosząc się nad podłogą, wsunął się do jego pokoju.

Chciał, żeby usłyszał, ale chciał też, żeby poznał.

Ten miarowy, spokojny oddech wręcz odbijał się echem pośród pośliskłych ścian, w tej chwili spowitych nieprzeniknioną ciemnością.

Miał białą koszulę, krótko przystryżoną brodę i włosy jakby muśnięte delikatnym grudniowym śniegiem. Twarz lekko brązowa zdradzała ostatni, sierpniowy pobyt nad morzem, a świeżo wypastowane lakierki – nonszalancję, ogładę i powszechne uznanie. Bijąca od staruszka atencja rozbudziła w chłopaku chęć pożądania tej wiedzy, którą on zapewne dysponował. Zresztą jego mądrość, erudycję i znajomość świata prezentowały również binokle, opierające się na zakrzywionym nosie. Kiedy słuchało się jego ciepłego głosu, płynącego jak woda w małym strumyczku, można było odnieść wrażenie, że człowiek ten bardzo wiele w swoim życiu przeżył i ma to doświadczenie, którego Jake do końca swojego życia nie na-

będzie.

Z wolna zbliżał się do łóżka.

Kąciaki ust przybierały kształt odwróconego półksiężyca, wykrzywając się co raz bardziej i bardziej, tak jakby za chwilę miały wyrzucić z siebie kolejną, nieprzebraną ławicę słów, płynącą prosto do serca.

$\frac{3}{4}$ Wiem, co trapi twą duszę, mój synu – zaczął i pogłaskał chłopca po głowie. – Jestem w stanie sprawić, że od momentu, gdy mnie spotkałeś, twoje życie nabierze barw, będzie tak kolorowe, jak ta figurka, którą otrzymałeś od swojego ojca. Musisz mi tylko zaufać, a ja uczynię z ciebie tego, kim zawsze chciałeś być...

Ośmiolatek wpatrywał się w niego pytającym wzrokiem. Z jednej strony paraliżował go strach – bo oto obcy mężczyzna zjawia się w jego pokoju, cały ubrany na biało, uśmiecha się, przysiadając na łóżku, głaszcząc, z drugiej jednak ten sam lubiany, radosny pan, którego każde dotknięcie sprawiało, że dzień stawał się jaśniejszy.

Jego przeszłość nie była nikomu znana. Po prostu, któregoś dnia pojawił się w gabinecie pani dyrektor Strump, otrzymał odpowiednie wytyczne i mógł zaczynać pracę. Swoją drogą ciekawe jest to, że przyjęli właśnie jego, kiedy przed nim w drzwiach Hildenburger Chery – budynku, w którym mieścił się sierociniec – codziennie prawie zjawiał się ktoś nowy i odprawiany zostawał z kwitkiem.

Coś podpowiadało mu, że musi, chcąc czy nie, słuchać go dalej. Jakaś niewidzialna siła sprawiła, że chwycił nieznajomego za rękę. Ścisnął ją mocno, jakby bał się, że go opuści, ucieknie i zostawi - tak jak rodzice. Nigdy z nikim tak wielkiej, trwałej i emocjonalnej więzi nie czuł. Od czasu, gdy go poznał, wiedział, iż pewnego dnia ich drogi się skrzyżują.

$\frac{3}{4}$ Nie bój się mój mały, przy mnie jesteś bezpieczny. Nie pozwolę, aby coś ci się stało. – przyłożył rękę do jego czoła. Głos brzmiał pięknie. Męski, ale nie donośny, władczy, ale nie rozkazujący.

Jake nie odrywał od niego wzroku. Czuł się senny, ale zasnąć nie mógł. Położył głowę na poduszkę. Słuchał z niechęcią podekscytowaniem opowieści obcego mężczyzny. W jednej chwili odpłynął wszelki strach, chęć głośnego wołania pomocy, jednym słowem te wszystkie negatywne uczucia, jakimi dotąd usiany był jego świat. Potem słyszał jeszcze jego głos, oddalający się. Widział, jak zamyka drzwi pokoju, z jaką gracją to robi. lecz z każdym krokiem, chwilą, sekundą, oddalał się, niknąc w bezmiarze otaczającej cały sierociniec nocy.

Następny dzień dla Jake był inny. I nie tylko on to zauważył. Coś zmieniło się w jego wyrazie twarzy, ubiorze... Uśmiechał się.

Potem było już tylko lepiej. Usłyszał jak panna Ferchy woła go na dół. Zszedł więc posłusznie, ściskając w ręku figurkę. Czuł, że staje się ona dziwnie gorąca, jak gdyby za każdym przebyciem w kierunku sali schodkiem ciepło w niej wzrastało.

Po chwili, kiedy był już na dole, schował ją do kieszeni i wszedł do sali.

Pomieszczenie było małe, ale bardzo zadbane. Pośrodku stał nowy, jeszcze nierozpakowany stolik i dwa krzesła. Przy ścianach walały się tony starych, zepsutych zabawek. W kącie stał on - mały, krępy

mężczyzna z gęstą brodą. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie fakt, że jego spojrzenie przewiercało wszystkich na wylot. Wpatrywał się on w Jake'a pełnym surowości i dyscypliny wzrokiem, który dawał do zrozumienia, że za chwilę życie obu z nich się odmieni.

Chłopak niepewnym krokiem podszedł do mężczyzny. Stąpał lekko, na palcach, tak jakby bał się narobić hałasu. Obawiał się, że być może jego marzenie zniknie, kiedy zbyt gwałtownie się poruszy.

Zatrzymał się.

Czy go rozpoznał? Trudno powiedzieć. Jedno było pewne. Już od rana dzieci, w sali jadalnej komentowały, a wręcz głośno skandowały nie pojawienie się jednego z wychowawców na zmianie.

- Przedstawiam ci twojego dziadka. – powiedziała radośnie.

- Jest mi niezmiernie miło, że tak dobrze zajęliście się państwo moim wnukiem – mężczyzna podziękował skinieniem głowy – Mam nadzieję, że nie sprawiał wam zbyt wielu problemów. Ma się rozumieć, że po takiej traumie, cóż, jakby to powiedzieć... Dziecko może inaczej postrzegać świat... - odwrócił się w jego stronę – przepraszam, że tak długo musiałeś czekać na mój przyjazd, ale musiałem, jak to mówią, zbadać grunt, a co za tym idzie, przygotować się mentalnie... wiesz, co mam myśli.

- Owszem byli z nim na początku drobne problemy – przerwała natychmiast panna Ferchy – jednak teraz to już nieważne – rozejrzała się wokół i zmieniła temat – proszę przyjąć moje serdeczne gratulacje. Takiego świetnego pojedynku nie widziałam od lat. To trzeba panu przyznać... mam nadzieję, że talent dziedziczy się w genach – puściła oczko w stronę Jake'a.

Chwilę jeszcze rozmawiali, zanim przeszli do bardziej skomplikowanych formalności, a on stał jak wryty, nie mogąc uwierzyć w to, co się właściwie stało. Owszem, przeżywał ostatnio wiele przygód, ale nigdy nie powiedziałby, że to wszystko będzie miało taki finał. Co to znaczyło? Czyżby odnalazł wreszcie tak upragnioną rodzinę. Po śmierci rodziców stracił już kompletnie nadzieję na poznanie innych członków ogromnej rodziny, w której się wychowywał. Co prawda od początku miał do czynienia z ciotkami, kuzynami, zarozumiałymi pięciolatkami z kokardką w warkoczach. Jednak ci nie kwapili się, aby go chociaż odwiedzić. Miał żal. Ale jednocześnie czuł swoistego rodzaju radość. Nie z powodu straty. Obawiał się czegoś innego, że trafi do rodziny, która zaopiekuje się nim tylko z litości.

Nie wszystko rozumiał, a tym bardziej to, czym zajmuje się jego dziadek. Niemniej już nie mógł doczekać się, aby wybyć z tego domu. Może i było mu tu dobrze, jednak wciąż marzył o spełnieniu swych pragnień, o zostaniu tym, kim zawsze chciał być. Przyszłość po sierocińcu mu tego nie gwarantowała, a wręcz nawet odbierała jakąkolwiek możliwość. Oto bowiem w miejscu, z którego pochodził, panowało przekonanie, że jeśli jesteś wyrzutkiem, sierotą albo inwalidą, nie możesz kształcić się dalej, bo zwyczajnie cię na to nie stać.

Teraz już wiedział, że będzie inaczej. Lepiej.

Jake'a ogarnęła fala złości.

Arkadyjskie życie w ułamku sekundy po raz kolejny zostało mu odebrane.

Pałał żądzą zemsty. Nieokiełznane pragnienie zniszczenia największego wroga jego rodziny było w tej chwili tak silne, że musiał uderzyć ręką w ścianę, poczuć ból, żeby dopiero stać się spokojniejszym.

Po tym, czego dowiedział się od dziadka po zabraniu z sierocińca, dawało mu jeden wystarczający powód, by móc sądzić, iż to nie przypadkowy wybuch w rodzinnym domu strawił jego rodzinę, ale celowe działanie, ukartowane tylko po to, by odebrać to, co miał najcenniejsze... pokłady miłości, dobra, troski, opieki.

Z megafonu dało się słyszeć piskliwy głos. Został wywołany na arenę.

Teraz zaczynało się ostateczne starcie dwojga gigantów – Jake’a Chillego i Hiper-Robociarza.

II

Jake stał na środku areny trochę się niecierpliwiąc. Tłum wiwatował, jakby nie zdając sobie sprawy, że walka jeszcze się nie rozpoczęła. Arbiter przywołał skinieniem ręki swojego asystenta. Był to młody chłopak przebrany w obcisłe żółte szorty i białą koszulę. Sędzia wyszeptał mu coś do ucha, a ten czym prędzej ruszył w stronę miejsc dla zawodników.

Nie minęło dziesięć minut nim znów przybył do głównego sędziego. Wymienili porozumiewawcze spojrzenia i wówczas, jakby za pociągnięciem magicznej różdżki, na wielkich telebimach rozstawionych wkoło areny pojawił się zegar. Czerwone cyfry odliczały powoli, skrupulatnie jedną minutę. Czas płynął nieubłaganie.

Nie trudno było się domyślić, że Hiper-Robociarz będzie planował osiągnąć zwycięstwo wszelkimi metodami. Zresztą już wcześniej pokazywał, do czego jest zdolny. W magazynach portowych Station Squer tak w końcu poturbował Jake’a, że ten omal nie umarł z wyczerpania i poniesionych obrażeń. A jeszcze wcześniej, kiedy to wszystko się zaczęło - tajemnicza kasetka, telewizor i wirtualny pojedynek - czy już wtedy nie było jasne, jaką mocą dysponuje?

Dziadek zawsze uczył go, żeby nie lekceważyć przeciwnika, nawet jeśli on myśli, że już zwyciężył. Należy walczyć do upadłego, bez względu na konsekwencje.

Zostało dziesięć sekund. Widownia wyraźnie poruszona impasem na arenie zaczęła głośno odliczać.

Pięć-Cztery-Trzy-Dwa-Jed...

Zegar cofnął się. Krwisto czerwone liczby zamieniły się miejscami, odwróciły się, po czym wybuchły tysiącami kolorowych fajerwerków, ukazując tym samym nowy, na nowo odliczany czas.

Jedna godzina.

Sześćdziesiąt minut.

Niewiarygodnie głośny brzęk rozdarł powietrze. Ludzie zatykali uszy, a całą arenę ogarnęła ciemność.

Zaczęło dziać się coś niepokojącego. Zamknął się dach, po czym wysunęły się z niego olbrzymie kolce, nasączone zieloną mazią przypominającą popularną wśród miejscowych alchemików truciznę. Nie było ich tam wcześniej, bo po co montować coś takiego.

Z trybun wyrastały koła, zębate, ostre jak brzytwa, przesuwające się to w górę to w dół. I kiedy dosięgnęły pierwszych rzędów, nikt nie zdołał się schronić, a miażdżące, przecinające wszystko na pół ostrze wykonało wydany przez samozwańczego sędziego wyrok. Wszędzie teraz wisiały klatki. Olbrzymie stalowe haki, przypominające ręce, nieśmiało zwisające ze słupów otaczających arenę, co chwila chwytaly ludzi i wsadzały ich tam z impetem.

Nawet zawodnicy bezpieczni nie byli. Platformy, na których rozgrywał się mecz, pojedynki, czy w tej chwili śmiertelna walka o przetrwanie, rozdzieliły się od siebie unosząc do góry. Wnęki po nich powstałe niespodziewanie zapełniły się wrzącą lawą. Blask fleszy i reflektorów skierował się na puste pole dla zawodników.

Przerażenie malujące się zarówno na twarzy zgromadzonego tłumu, jak i niedowierzanie u Jake'a były tak samo widoczne. Nikt tu z przybyłych nie spodziewał się takiego wejścia głównego zawodnika w finale. Ale czy to można nazwać wejściem? Terror, jakiemu mieli być poddani wszyscy, nie mógł być porównywany z niczym. Bestialstwo, ale i wywołanie w ludziach paniki, poczucia bezradności od teraz stały się znakami rozpoznawczymi Hiper-Robociarza.

Lecz zamiast głównego bohatera całego przedstawienia pojawiła się ona. Brzydota i ogrom rdzy spływającej po wszystkich elementach tego mechanicznego monstrum.

W końcu on nigdy nie miał w zwyczaju pokazywać się osobiście, toteż postanowił wysłać do boju kolejny swój bezwartościowy wynalazek. Zawsze tworzył maskę, formę, za którą mógł się skryć i stamtąd knuć swoje intrygi. Burzliwe losy jego rodziny spowodowały, że stał się on człowiekiem cichym, nieśmiałym, jednak z każdym kolejnym zwycięstwem potęgował w sobie zemstę i brutalność.

Raz tylko udało się Jake'owi zobaczyć jego sylwetkę. Gruby mężczyzna w czerwonym garniturze, czarnych, nowo wyglądających butach, meloniku na głowie i z laską o trzonie w kształcie trupiej czaszki. Nastąpiło to wtedy, gdy ta przekłeta kaseta trafiła do jego domu, gdy osobiście przyniósł ją, bezczelnie podszuwając się pod kuriera.

Trudno opisać to, z czego składała się maszyna. Można przypuszczać, że została wykorzystana niemal każda część ze złomowiska, której nie da przerobić się na inne komponenty. Jednocześnie, co widać było po układzie kabli i przewodów wystających z jej wnętrza, posiadała skomplikowany system sterowniczy i komputerowy. A serce wypełnione było olbrzymią kulą energii, połyskującą na wszystkie strony błękitnym światłem, które w innych okolicznościach dałoby poczucie lekkości, puszystości i swoistego relaksu.

Na Jake'u całe przedstawienie zrobiło wielkie wrażenie. I nie tyle pod względem show czy efektów specjalnych, ale przede wszystkim jako dokładnie, ze szczegółami zaplanowana intryga, obfitująca każdorazowo w sceny wyjęte wprost z horroru. Mnóstwo krwi, panika ludzi. Piły rozdzierające wszystkich jak leci. Nadziewanie na kolce. Iście średniowieczne tortury. Nikt nie wytrzymałby tego psychicznie, a tym bardziej delikatny dwunastolatek z bagażem przeszłości dźwiganym na plecach i żądzą zemsty pchającą go jeszcze bardziej ku ziemi.

Czuł teraz przestrach, lęk, obawę o życie swoje i przyjaciół siedzących na widowni. Nie mógł jednak pozwolić, aby negatywne emocje, wartości, a tym bardziej chęć odpłacenia pięknym za nadobne, zdominowała cały jego zamknięty w sztywnych ramach, klaustrofobiczny świat, w którym tylko on potrafił się odnaleźć. Musiał nad tym zapanować. Tylko jeszcze nie wiedział jak.

Rozdzierający niebo krzyk ludzi wydających ostatnie tchnienie, płacze, szlochy kobiet, próbujących osłonić swe dzieci pod ciasnym płaszczykiem pośród wąskich przejść widowni, całe to masakryczne prezentowanie potęgi zrobiło z tej gry coś więcej niż tylko zwykłą pokazówkę rozrywkową dla spragnionych zabawy dorosłych. Teraz były to istne igrzyska śmierci, w których stawką było ludzkie życie, a jedynym bohaterem - dwunastoletni chłopiec.

Niebo przeszył piorun. Zaczął padać deszcz. Pośród światła ogromnych lamp ustawionych wokół areny dało się dostrzec majaczące w ciemności odbicie małego, grubego człowieczka z melonikiem na głowie. Stał na najwyższym podium areny, podnosząc ręce w chwale zwycięstwa i dzierżąc kryształową kulę światła – najważniejszą nagrodę w całym turnieju. Jego twarz jak zwykle okryta była płaszczykiem ciemności. Tylko pilot, a raczej ster w ręce zdradzał, że przystępuje on do zadania ostatecznego ciosu. Bezwzględność i paranoidalna niechęć tego człowieka do świata powodowała destrukcję rzeczywistości, jej powolne zniekształcanie, a w konsekwencji całkowitą degradację. Jedynym celem osobnika jego pokroju było zniszczenie indywidualności, kreatywności i całego „ja”, którym od dzieciństwa dysponuje człowiek.

Niespodziewanie, bez żadnego sygnału, ostrzeżenia, czegokolwiek maszyna rozpoczęła swoją kolejkę. Powolnym ruchem sięgnęła w stronę swojej głowy i z ukrytego tam schowka, którego bynajmniej Jake wcześniej nie zauważył, wyciągnęła małą figurkę.

Z odległości, w której się znajdowali, nie dało się dostrzec żadnych szczegółów. Dopiero, kiedy ta przyłożyła ją do swojego korpusu i wchłonęła, oczom chłopaka ukazał się potwór, *Mechaniczny tygrys*. Olbrzymie zęby ociekały tą samą substancją, jaka od czasu do czasu kapnęła z kółców umieszczonych na dachu. Laserowe, czerwone oczy śledziły każdy punkt na ciele przeciwnika, gotowe w każdej chwili wysłać do mózgu sygnał, że to odpowiedni moment, aby zaatakować.

Wygląd areny był niecodzienny. W całej swej okazałości prezentowała się jak olbrzymie trzy- lub pięciometrowe pole z kwadratowymi podwyższeniami dla zawodników, w całości posypane żółtym, kamiennym piaskiem. Wokoło rozstawione były lampy holograficzne, które po włączeniu prezentowały walczącym stronom, całkowicie nową, losowo wygenerowaną scenerię dostosowaną do aktualnych możliwości i statystyk osób biorących udział w turnieju. I tak rok rocznie dało się na przykład zobaczyć ośnieżone ostępy Antarktykopolis, lodowce, a nawet odpadające z nich fragmenty.

Oprócz zapierających dech w piersiach widoków, pola te urzekały swoją realnością i prawdziwością. Niejeden, kiedy znalazł się na dzikich wydmach pustyni, mógł skosztować, jak smakuje ziemia niesiona przez właśnie wytworzoną burzę piaskową. Widownia przeżywała to samo, co zawodnicy. Ba, nawet więcej, bo przecież to właśnie po trybunach przebiegały od czasu do czasu jakieś olbrzymie holograficzne bestie.

Obok, mniej więcej po prawej stronie, pojawił się mały, samosterujący się robot, na pierwszy rzut oka przypominający zwiniętego w kłębek kota. Jake nie zauważył nawet, kiedy maszyna zdołała po niego sięgnąć i w jaki sposób przyzwać. Przecież potwór, którego właśnie miał przed sobą, był ulepszoną ewolucją. Oznaczało to, że potrzebowano kilku mniejszych lub większych komponentów do jego

utworzenia. Gdyby nie fakt, że Robociarz słynął ze swej bezwzględności, ale nigdy z kłamstwa i fałszu, można by przypuszczać, że uczynił to specjalnie.

Jake sięgnął po leżący na jego stanowisku pas. Oto bowiem ten niepozornie wyglądający przedmiot miał mu przynieść zwycięstwo. To właśnie on był głównym narzędziem gry, a jednocześnie elementem skomplikowanego systemu Digital Vision, na którego płaszczyźnie mechanika tej gry się opierała.

Zamyślił się. Wyciągnął z kieszeni figurkę i spojrzał na magiczne karty, które trzymał w ręce. Nie ma w tej chwili potrzebnego potwora, mogącego ochronić go od zmasowanego ataku. Ruszył więc do biegu i z nadzieją, że sędzia zorientuje się, o co mu chodzi, wykonał skok prosto w lawę syczącą pod platformą.

Arbiter wił się na ziemi niczym wąż. To czołgał się, to wykonywał przewroty, wyglądał jak wojownik kung-fu w dobrym komediowym filmie o policyjnej opowieści, niezdarnie wykonujący wszystkie swe posunięcia i walki. Kiedy zobaczył, że jeden z zawodników sam odbiera sobie życie, wykonując bardzo niebezpieczny manewr, podniósł się na równe nogi i czym prędzej pobiegł do zawieszanej na jednej z kolumn dźwigni uruchamiającej system losujący odpowiednią scenerię.

Kiedy Jake już miał spaść w syczącą lawę, w tej chwili pod jego stopami pojawiła się ogromna, mieniąca się różnymi odcieniami błękitu sadzawka, wokół której przechadzali się z wolna ludzie, a po jej tafli, delikatnie, niczym po szkle, sunęły małe turystyczne łódeczki.

Wpadł do wody.

Lawa oddzielona była od platformy niewidzialnym polem ochronnym, które zapewniało bezpieczeństwo w przypadku upadku z dużej wysokości.

Wszyscy wstrzymali oddech. Nawet ludzie, teraz tak bardzo panikujący, bojący się o własne życie, a przede wszystkim ci, niewinni, którym zgotowano los przypadkowych ofiar. Tylko jedna maszyna pozostała w bezruchu, jakby na czas, kiedy nadchodzi kolejka drugiego zawodnika, wyłączała się.

Wszędzie, w ogromnym parkurze przestrzeni i zieleni, niczym w ogromnym labiryncie, porozrzucane były Karty Żywiołów lub dodatkowe figurki, z pomocą których można było łatwo uczynić się zwycięzcą. Tylko dokładna eksploracja każdego zakamarka sprawiała, że zdobyte potwory ze zdwojoną mocą, łączone w różne, często nowe konfiguracje, pokonają przeciwnika.

Jake zanurkował. Nigdy nie był zbyt dobry w tego rodzaju wodnych sportach, jednak w obecnej sytuacji musiał zaryzykować i przemóc swoją ogólną niechęć do wysiłku fizycznego.

W ogóle należał raczej do osób, stroniących od wszelkiego typu aktywności na powietrzu. Woli całkowity rozwój duchowy będący kwadratem sumy ruchu i wysiłku umysłowego. Cały jego świat wypełniały zarówno wszelkiego rodzaju gry, jak i książki, którymi najczęściej obdarowywał go dziadek.

Kowbojski kapelusz, który jeszcze nie tak dawno mocno spoczywał na jego głowie, a który otrzymał w prezencie, w tej chwili pływał bezwładnie po powierzchni wody. Mechaniczny olbrzym również to dostrzegł i, tylko lekko unosząc dłoń, w milczeniu dał sygnał skulonemu mechanicznemu zwierzęciu, by skoczyło za nim. *Samosterujący się kot* wykonał dużego susa i czym prędzej znalazł się obok chłopaka.

Gdy Jake zajęty był poszukiwaniem kolejnych bonusów, Hiper-Robociarz nakierował czerwone oko ma-

szyny na publiczność i dał rozkaz, by nie przestawała ostrzeliwać tłumu seriami elektrycznych kul. Miało to trwać tak długo, aż nie będzie miał całkowitej pewności, że absolutnie wszyscy drżą ze strachu przed jego potęgą.

Olbrzym skierował głowę w stronę widowni, otworzył oko i niemal bez żadnego wysiłku pchnął w nią olbrzymie wyładowanie. Lecąca kula rozszarpała się na kilka małych. Z impetem uderzyła o marmurowe stopnie, na których siedzieli niewinni ludzie. Wybuchła.

Kilku młodych, odzianych w białe tuniki mężczyźni upadło na ziemię. Aura śmierci spłynęła na nich bardzo niespodziewanie. Ich ciała, blade, zakrwawione ułożyły się, to na wznak, to na boku, to w jeszcze innych pozycjach. Twarze mieli zmasakrowane. Łatwopalny i przewodzący prąd materiał ich koszul powoli, chwiejnym płomieniem spalał się, unosząc w niebieską toń holograficznego nieba czarny, cuchnący dym.

Jake po chwili wyleciał jak oparzony z niebieskiej toni, kurczowo trzymając się skrzydła przyzwanego przez siebie potwora. Wokół niego unosiła się niebieskawa poświata.

Miał to, czego teraz potrzebował.

Na platformę zleciał olbrzymi anioł, otoczony kręgiem ognia, z białymi skrzydłami, wstęgą na oczach i długich, rozpuszczonych włosach do ramion. Jego łuk lśnił w świetle komputerowego słońca, a szklane strzały połyskiwały w materiałowych kołczanach wszystkimi kolorami tęczy.

W tym momencie znów obudziła się w ludziach nadzieja, że ocalenie nadejdzie bardzo szybko.

III

Jejdi, Craig i Pete przyglądali się walce z niemalym napięciem. Miejsce, które w tej chwili zajmowali za kulisami odsłoniło wszelkie widoki na każdą stronę areny. Jeszcze nigdy nie byli zarówno tak przerażeni, jak i podekscytowani. Ich przyjaciel starał się uratować ludzkość, wszystkich tu obecnych przed trawiącą i przeżuwającą głośno świat pożogą zemsty Hiper-Robociarza. Przyjaciele sami również wielokrotnie stawali w szranki z mniej lub bardziej złowieszczyimi antagonistami. Jednak jeszcze nigdy ze strony żadnego adwersarza nie doznali takiej brutalności, jakiej od kilku minut doznawał Jake i inni tu zgromadzeni.

Nad głowami ludzi unosiły się przyzwane niedawno potwory - *Święty Anioł Ognia* i *Mechaniczny Żółw Armata*. Ten drugi pojawił się na polu zaraz po tym, jak dwunastolatek zobaczył, co maszyna zrobiła z ludźmi – jak ostrzeliwała ich kulami energii. Skoro już grać na poważnie, to czemu przestrzegać zasad gry.

Według tych oficjalnych, każdy z graczy mógł przyzwać na pole jednego, ewentualnie dwa potwory równego poziomu zaklęte w figurce. Chyba, że wcześniejszy posiadał odpowiedni efekt, moc specjalną, dzięki której możliwe stawało się wykonanie podwójnego ruchu.

Jednak Jake takim czymś nie dysponował. Owszem, jego anioł miał swój własny, indywidualny rezultat,

jednak nie ten, którego można było się spodziewać

Sporo ryzykował dając upust swej żądzy zemsty za ludzką krzywdę, ale wiedział, że nie może spełnić na niczym i musi uczynić wszystko, nawet jeśli jest to zakazane, by uratować setki tysięcy niewinnych istnień, znajdujących się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie. Był gotów poświęcić siebie, swoje życie, potwory, by choć garstka z nich przetrwała.

Widział, jak wytworzone przed chwilą, otaczające arenę kręgi ognia właśnie trawiły uciekającego mężczyznę. Jego spalone ciało miotane było między jednym końcem areny, a drugim. W końcu wpadło w dół z lawą.

Rozwścieczony Jake przefrunął nad stojącą maszyną i wydał polecenie swojemu potworowi, którego grzbiet delikatnie głaskał, by z całej siły, całą mocą uderzył w plecy przeciwnika. Nakierował również gestem ręki armatę *Mechanicznego żółwia*, tak aby strzał dosięgnął prosto korpusu maszyny. Schowany pod czerwoną szatą anioł skinął delikatnie głową... i już miał trafić, kiedy miecz jego przełamał się na pół, a on sam runął na ziemię skrepowany olbrzymimi kajdanami.

Fortel zastosowany przez mechanicznego przeciwnika skutecznie powalił przeciwnika. Niczego niespodziewający się dwunastolatek wpadł w zastawione na niego sidła. Dwa potwory na polu, do tego o niskich statystykach, marnych mocach specjalnych i przede wszystkim nieprzyzywanie kolejnych, nowych. Postanowił, więc wykorzystać swoją, jak się zdawało, przewagę i zaatakować. Nie mógł przypuszczać przecież, że ukrywający się za wynalazkiem Hiper-Robociarz, dokładnie zaplanował to wszystko i używając raz tylko w całym turnieju, ukrytej mocy swojego potwora, mógł przyzwać jego ewolucję i tym samym uczynić go silniejszym, bardziej potwornym, a co za tym idzie i efektywniejszym. Zgodnie z tym, co się w tej chwili stało można było domyślić się, że specjalną mocą jest unieruchamianie, czyli takie skrepowanie stworów przeciwnika, by ten nie miał najmniejszej możliwości wykonania ruchu.

Jake znalazł się w takim właśnie położeniu.

Leżał na ziemi. Spadłszy z *Anioła*, uderzył mocno o twarde, wyścielany zieloną trawą, holograficzny bruk. I mimo że uderzył o platformę, na której rozgrywał się pojedynek, wciąż miał świadomość tego, iż jeśli przegra spadnie prosto w dół, a wtedy nic, ani nikt nie ochroni świata, ludzi przed potęgą Hiper-Robociarza. Bolała go głowa, bolały plecy, a i ręka być może była złamana. Nie wiedział tego i chyba nie miał najmniejszej ochoty się o tym przekonać.

Kątem oka zobaczył poruszenie na widowni. Nie dość, że była w tej chwili osaczona przez niszczącą spiralę zła Hiper-Robociarza, to jeszcze musiała patrzeć, jak jej jedyny bohater, wybawca, w którym pokłada nadzieję, jest poniewierany i z każdym momentem coraz bardziej zbliża się do katastrofy. Jednak najbardziej żał mu było przyjaciół, którzy, widać było, że starają się zapobiec wszechogarniającej panice.

Jejdi wbiegła szybko po schodach, podbiegła do słaniającej się z przerażenia, ale i bólu, starszej kobiety, podała jej rękę i ostrożnie, starając się być niezauważoną odprowadziła na pierwsze wolne miejsce, jakie znalazła pośród widowni. Po chwili, po cichych podziękowaniach staruszki, wątlm, stłumionym przez ogarniający strach, uśmiech, krążyła wśród kolejnych rzędów ławek i z wielkim znakiem zapytania na twarzy podchodziła do ludzi, pomagała im, twierdząc nawet, że wszystko będzie dobrze. Jej nobliwy charakter być może dawał ludziom jakąś nadzieję, ale w tej chwili na nic się ona zdawała.

Ubrana w zieloną bluzkę, z blond warkoczami podskakującymi na głowie za każdym razem, kiedy przy-

spieszała kroku, wyglądała pośród całego tłumu niczym mała plamka na obrazie malarza ukazującego krwawą scenerię przesadzającego z czerwienią kolorów wokół.

Oto bowiem uczeń największego mistrza, mentora wielu pokoleń, dziadka Kawasi'ego, leży bez ruchu i, nie myśląc o niczym, oddycha miarowo, raz po raz to otwierając, to zamykając oczy.

Nie mógł go zawieść, zważywszy na to, że staruszek poświęcił za niego swoją wolną wolę, gdy ta przekłeta kaseta znalazła się w ich domu.

Pewnego dnia wyszedł, by spotkać się ze znajomymi. I wtedy wszystko się zaczęło. Dziadek został sam, niechroniony przez nikogo, z jedną kobietą – laską przy boku – idealny cel dla złodziei lub kogoś innego. Do drzwi zapukał kurier. Miły mężczyzna w średnim wieku. I gdyby nie podejrzenie wyglądająca czapka bejsbolówka na jego głowie, nikt nie domyśliłby się, że jest Hiper-Robociarzem we własnej osobie. Standardowo wręczył przesyłkę, wziął podpis i odszedł. Ale już wówczas śmiał się cynicznym i szyderczym uśmiechem, tak, jakby wiedział, co za chwilę nastąpi. Jake wrócił do domu i niemal natychmiast poczuł, że coś jest nie tak. W powietrzu unosiła się dziwna aura, coś na kształt porannej mgły. Rzeczywistość była szara, nijaka, jak wtedy, gdy trafił do sierocińca. Pobiegł na górę, do sypialni i... zobaczył to. Dziadek siedział przy telewizorze otoczony magicznymi potworami. Jego moc była już na wykończeniu.

Jedno serce – Jedna szansa – Jedno życie.

Podszedł ostrożnie, usiadł przy nim, wyciągnął swoją figurkę i ułożył na ziemi. Po raz kolejny holograficzne monstrum, anioł, wynurzył się ze świata Digital Vision i przybył, by ratować ludzkość. Zgodnie z regułami, kiedy do gry lub przerwane go pojedynku dołączy ktoś nowy, nieskończony atak potwora obiera za cel nowego przeciwnika. A ponieważ Robociarz uczynił całe to starcie bardzo realnym, toteż każdy cios ranił niemiłosiernie. Gdyby nie dziadek Jake'a, zostałby spalony na popiół. W ostatniej chwili, resztkami sił, Kawasi zaparł się rękami o podłogę, wstał, i gdy z telewizora wyleciał płomień, osłonił chłopaka własnym ciałem i przyjął tak duży ból, że serce prawie nie wytrzymało. W karetce udało się go odratować, ale apatia, brak reakcji na najmniejszy ruch i wieczny sen zdradzały, że jego „dusza” została zabrana. A, im dłużej ciało nie ma w sobie tej niewidzialnej masy, tym samym nie posiada własnej woli i można z nim zrobić wszystko.

Teraz znajduje się ona gdzieś głęboko ukryta i tylko Hiper-Robociarz wie, jak ją odzyskać. Ale nie on walczy. Ukrywa się za jakąś swoją kolejną maszyną, rad, że nie musi stawiać twarzy w twarz z osobą, którą pozbawił najważniejszej osoby w życiu.

O, nie, ty przekłeta kupo złomu – pomyślał Jake. Wstał powoli, trzymając się za obolałą rękę. Wstał na równe nogi, ostentacyjnie otrząpał się i był gotowy, by dopiero teraz rozpocząć prawdziwą bitwę.

IV

Jejdi, koleżanka Jake'a, która uchodziła społecznie za wzór cnót i postaw obywatelskich, nade wszystko uważała, że nie liczy się jej szczęście, ale radość i uśmiech na twarzy innych. Z tą ideologią, z dobrymi intencjami i przede wszystkim w celu ratowania wielu innych śmiertelników, chodziła teraz wśród tłumu,

potykając się czasem o skulone, bezładnie leżące ciała ludzi, na śmierć przerażonych myślą, że więcej nie ujrzą swoich bliskich. Jejdi postawiła sobie za cel uratować jak najwięcej osób i, czy się to komuś podoba czy nie, dokona tego. Nawet jeśli miałyby poświęcić za nich życie.

Rozejrzała się wśród widowni w poszukiwaniu Pete'a i Craiga. Razem z nimi tu przyszła i razem z nimi stąd wyjdzie. Drugi z przyjaciół na grzbiecie swojego potwora latał, niszcząc zbliżające się do ludzi kolce z nowych, wytwarzanych przez demoniczną maszynę, pułapek. Z kolei Pete zniknął gdzieś tak szybko, jak się pojawił.

Paczka ta była nierozłączna. Zawsze razem, wszędzie w czwórkę, każdy za każdego gotów w ogień skoczyć. I mimo że czasem zdarzały się między nimi kłótnie, wiedzieli że są w stanie zrobić dla siebie wszystko. Ale również te miłe chwile spędzane w hermetycznie zamkniętym towarzystwie rodziły nowe więzi i związki.

Najstarszym z grupy był Craig. Bujna blond czupryna Craiga błyszczała teraz muskana każdorazowo przez przebijające się zza mgły promienie słońca. Chłopak rezolutny, można powiedzieć dusza towarzystwa, prócz wiecznie rozczochranych włosów wyróżniał się jeszcze jedną cechą. Zakochiwał się na zabój, w każdej nowo poznanej dziewczynie. Jednak tą, z którą zawsze chciał spędzić resztę życia była Jejdi.

Od zawsze wiedziała, że są sobie przeznaczeni. Zresztą on wiedział to również. Nie było dnia, żeby o sobie nie myśleli, nie rozmawiali o wspólnych planach, marzeniach. Tak wiele ich łączyło, ale i dzieliło. Ona – zwykła niewiasta o płowych włosach i nieziemskim spojrzeniu, martwiącą się w tej chwili, nie tyle o swoje, co o jego życie. On – bohater walczący dla innych, którego walki potworów tak zmieniły, że stał się zimny, bardziej dziki, niedostępny.

Zatrzymała się. Na ziemi wił się w sztok pijany mężczyzna. Chciała go jakoś minąć, ale ten chwycił ją za nogę i przewrócił. Podpełzł do niej, bełkocząc coś i zaczął dotykać jej stóp. Próbowwała się wyrwać, jednak uścisk był tak silny, że na nic zdały się szarpania i jęki. Krzyczała, lecz on nie reagował. W tej chwili była skrępowana, zakłopotana i w silnym szoku.

Szarpnęła tak mocno nogą, że aż kopnęła w twarz swojego oprawcę. Ten dwiema rękami chwycił się czym prędzej za zakrwawiony nos. Teraz mogła uciec, ale coś ją blokowało. Niewidzialna siła, przecucie.

Wyrwała się z jego objęć i wąskim przejściem wśród tumanów ludzkich ciał szepczących po cichu słowa znanych modlitwa biegła nie zwracając uwagi, co się wkoło niej dzieje. Spostrzegła tylko, jak Craig opada z sił, co raz bardziej i bardziej zatacza się na niebie, ledwo uchylając się przez kolcami wiszącymi do góry.

Mechaniczna ręka-pułapka chwyciła go w końcu i cisnęła z całej siły o jeden z wystających z góry kolców.

Przeszedł na wylot.

Chłopak zwisał, a z brzucha wolnym strumykiem sączyła się czerwona jak wino krew.

Jejdi stała nie dowierzając temu, co przed chwilą się stało. Jej dotąd jasna twarz zarumieniła się, a piękne

piwne oczy, napełniły tysiącem litrów łez, których przez niejedną noc nie zdoła wypłakać. Szok? Niedowierzenie? To mało powiedziane. Pękło w niej coś, co dawało jej dotychczas poczucie stabilizacji. I jak nigdy nie rozumiała uczuć, które targały Jake’iem podczas jego pobytu w sierocińcu, o czym zresztą niechętnie opowiadał, tak teraz w jednej chwili stało się jasne, co czuje człowiek po stracie bliskiej osoby.

Do Craiga przywiązana była jak nikt inny. Ideał mężczyzny to właśnie Craig, z pięknym muskularnym, dobrze wyrzeźbionym ciałem, które tyle razy widziała podczas wspólnych kąpieli. Może i mieli dopiero po szesnaście lat, może nie mieli ślubu, ale ich uczucie było tak wielkie, tak bardzo w nich zakorzenione, że zwykły formalny papierek, mógł je tylko utwierdzić. Nie liczyło się zdanie innych. Miłość nie zna żadnych granic, nawet wiekowych.

Teraz kiedy go już nie ma, Jejdi osunęła się na ziemię krzycząc i płacząc w niebogłosy. Wołała go jeszcze, chciała żeby przyszedł otulił ją swoim dotykiem, pogłaskał po włosach, ucałował na dobranoc czy po prostu przytulił.

Ogień, pożoga zemsty, ale i lawa podchodząca teraz już pod pierwszy rząd widowni, rozprzestrzenił się z zawrotną szybkością. Co raz częściej byli łapani ludzie i nadziewani na pal. Bestialstwo, ogrom zła, jakie wyrządza ta śmiertelna maszyna, ale i chore ambicje Hiper-Robociarza, doprowadziły do tego, że prawie nikt już nie wierzył w cudowne ocalenie przez nastoletnich bohaterów.

Pojedynczy tylko ludzie zwracali uwagę na to, co działo się wokół nich. Reszta najczęściej chowała się, rozpychając się, płacząc i szlochając. Jedynie arena wciąż tętniła życiem, a dający się słyszeć dobiegający stamtąd krzyk rozdzierał powietrze niczym ostry jak brzytwa miecz kolczugę założoną na piersi rycerza. Jake widział, co się stało z jego przyjacielem. Był mu oddany tyle razy, pomagał mu, kochał wręcz jak brata, którego nie miał. A on to wszystko zepsuł. Po co leciał tak wysoko, męcząc siebie i swojego potwora? Żeby zniszczyć, coś czego zniszczyć się nie da? Żeby uratować tych wszystkich, których być może ona sam nie zdoła?

Nie chciał żeby tak się to potoczyło. Śmierć nadeszła zbyt szybko.

Jake’a nigdy nie widywano takim przestraszonym. Stał jak wryty i z widocznym szokiem czuł przeszywający go od stóp do głów dreszcz. Szybko zamienił się on jednak w zemstę, gorejący krzew gniewu, który był tak gorący, że chłopak czuł jak jego serce płonie. Takiego czynu nie mógł wybaczyć za nic. Zda sobie sprawę, że teraz nie pora jest na szlochy, lamenty. W głębi czuł smutek, ale skoro miał zapobiec dalszym zniszczeniom, a tym bardziej ocalić resztę świata musiał walczyć do upadłego, nawet za cenę Craiga.

Odwrócił głowę w stronę Jejdi, ale jej już nie było. Dosiadła rumaka swojego chłopaka, który zdołał uskoczyć przed zbliżającą się mechaniczną ręką, przez co teraz był bezpieczny i leciała w stronę osłoniętego mgłą Hiper-Robociarza. Jej twarz nie zdradzała nic, żadnych uczuć. Odwaga tej młodej, szesnastoletniej dziewczyny nie znała granic, jej oddanie mogło być wzorem dla wielu przyszłych pokoleń, ale przecież nie była Prometeuszem, który dla swojego szczęścia sprzeciwia się bogom i obdarowuje człowieka lekko tłącym się ogniem. Była raczej niczym lilia unosząca się na tafli olbrzymiego jeziora – sama, delikatna pośród wielości ludzkich spraw, problemów, kłopotów.

Unosząc się do góry gdzieś w oddali posłyszała szloch i jęk oraz nerwowe nawoływanie. Kobieta, mniej więcej trzydziestoletnia, po omacku błędziła pośród kolejnych alejek siedzeń. Cała zapłakana, w małym przyciasnym sweterku, z butelką mleka w ręce, chodziła i szukała oddalającego się od niej małego obie-

żywiata. Dziecko, z którym tu przyszła wypełzło jej podczas powszechnego zamieszania z kocyka i teraz samo brodziło po zastępach złęknionych ludzi.

I gdyby nie hałas działających pułapek, krzyki, to może nie usłyszałaby tego, co w tej chwili tak bardzo rozdzierało jej duszę i sumienie. Jednak kiedy traci się kogoś bliskiego zmienia się swój charakter, osobowość o sto osiemdziesiąt stopni, co w jej przypadku oznaczało przede wszystkim wrażliwsze, dokładniejsze, a przede wszystkim trwałe spojrzenie na ludzką krzywdę.

Rozejrzała się wkoło w poszukiwaniu kobiety zapominając nawet o tym, że leci wprost na czyhającego za mgłą wroga. Przynajmniej tak się jej wydawało, bo gdy zorientowała się, że jest już blisko, w porę zahamowała swojego potwora przez co uniknęła zderzenia z postawioną tam kupą gruzu. Uformowaną tak, aby kształtem i sylwetką przypominała Hiper-Robociarza.

Odetchnęła.

Zawróciła i odnalazła majaczącą pośród tłumów kobietę, która ostatkami swoich sił starała się ocalić swoje dziecko. Podleciała do niej i patrząc głęboko w oczy zrozumiała przekaz: *Proszę ocal moje dziecko.*

Było już późno. Noc wdzierała się małymi okienkami umieszczonymi na ścianach areny do wnętrza. Powoli ogarniała ludzi i ławki mimo oświetlenia, które dawało teraz nieznaczną poświatę. Jedynym bardzo naświetlonym miejscem były platformy, na których walczyli Jake i maszyna Hiper-Robociarza.

Cały czas wymieniali się kolejnymi ciosami, przywołując raz po raz nowe potwory czy tworząc nowe konglomeraty mocy, siły, poziomu. Trudno było więc Jejdi odnaleźć chłopca. Nie chciała zawieźć kobiety, ale z drugiej strony zbyt dawanie jej nadziei, światełka w tunelu, że jej dziecko się odnajdzie, też nie chciała dawać. Było to tym bardziej trudne, ponieważ w głowie wciąż miała widok umierającego Craiga. Jego krwi i bezwładnie wiszącego ciała na czerwonym od krwi pału. Niemniej postanowiła wytrwać w postanowieniu, iż odnajdzie zgubę. I niemal po chwili dostrzegła, jak dwójka młodych mężczyzn, widać, że nieco bardzo już wstawionych, znęca się nad nim psychicznie i fizycznie.

Wydawało jej się, że nie dostrzega w nich ani krzty przerażenia, jakiegokolwiek strachu, lęku czy obawy. Po prostu siedzieli oni na ławce, z zimną żółtą puszką w ręku, z czarnym beretem na głowie i podziwiali całe widowisko. A że powoli zaczynało ich to nużyć, toteż znaleźli sobie zabawkę w postaci małego dwuletniego dziecka, które akurat koło nich przechodziło.

Chłopiec ubrany był w niebieski pulower, oczy miał koloru niebieskiego, a delikatna skóra, zabalsamowana odpowiednim kremikiem dla małych dzieci lśniła w świetle przysyłanych przez noc reflektorów.

Podleciała do nich w momencie, gdy jeden właśnie splunął właśnie na zalesioną blond włosami główkę dziecka. Potwór, na którym się znajdowała spostrzegłszy takie zachowanie mężczyzn uderzył swym ogonem jednego w twarz, tak że zleciał z ławki. Kiedy inni zorientowali się o co chodzi przystąpili do natychmiastowej ucieczki. Rzucili puszki piwa na ziemię i biegnąc na oślep trafili wprost na łapiącą wszystkich mechaniczną rękę. Potknęli się i tak szybko, jak i łatwo przyszło im wykorzystywać dziecko, tak szybko oni też znaleźli się nadziani na pal.

Wydawało się, że dziecko jest bezpieczne. Nic prostszego. Oddać je tylko matce. Ale gdy Jejdi brała malucha na ręce zobaczyła nad sobą olbrzymi kolec, który chybotął się naruszony i złamany w kilku miej-

scach. Już miała skończyć, chwycić dwulatka i czym prędzej uciec...

Ostatnie, co zobaczyła to pełzającego blisko niej chłopczyka.

Czuła ból, rozdzierający, pulsujący i cały czas wzmagający się. Nie miała innego wyboru. Musiała odrzucić maleństwo, kiedy kolec urwał się i z zawrotną prędkością leciał ku ziemi. Sama jednak poświęciła życie, by ocalić inne, drobne istnienie, które być może kiedyś, idąc za jej przykładem, podobnie uratuje komuś życie.

Widziała machającego jej Craiga. Był uśmiechnięty, ten sam, którego znała i zapamiętała. W końcu zna zawsze mogą być razem.

W ułamku sekundy Jake stracił dwie bliskie sobie osoby. Najpierw Craig, teraz Jejdi. Tego było już za wiele. Jego psychika powoli nie wytrzymała wytworzonego napięcia.

Świadomość spoczywającego na nim obowiązku, ale też i śmierci kolejnych jego pobratymców wywarły na nim tak ogromny wpływ, że w tej chwili jedyne co chciał zrobić to poddać się. Zrzucić pas, złamać figurkę, bo to przecież dzięki niej miał wygrać. A stało się odwrotnie – przysporzyła mu ona jeszcze więcej zmartwień, trosk, smutku i cierpienia niż można się było spodziewać.

Od początku pojedynków ten nie zapowiadał się na łatwy. Potęga Hiper-Robociarza znacznie przewyższała jego siłę, ale postanowił walczyć. Dla dobra dziadka, dla świętego spokoju, tak by wreszcie uwolnić się spod jarzma i ciągłej obserwacji tyrana. W rezultacie wyszło inaczej. Tysiące niewinnych istnień, on sam, jego przyjaciele stali się ofiarami okrutnych czynów, popisów, zarezerwowanych tylko dla najlepszych.

Ruszył w stronę maszyny. Chciał coś zrobić, ale w pewnym momencie zdał sobie sprawę, że nic tym nie osiągnie. Jego naczelnym celem nie stało się teraz własne dobro, żądza zemsty, ale pomśzczenie przyjaciół, wytropienie Hiper-Robociarza, odzyskanie duszy dziadka, a przede wszystkim ocalenie tych wszystkich ludzi, którzy jeszcze, przez chwilę, sekundę, nie wiadomo jak długo mogą cieszyć się tym, że w ogóle oddychają.

Zaparł się więc, stanął twardo na ziemi i już miał wydać polecenie ataku, gdy zobaczył, że jego pole jest puste. Wciągu kilku rund utracił wszelkie możliwości pozbawienia przeciwnika energii. Za nim rzeczywiście cokolwiek udało mu się wykoncypować przyszła kolej na ruch przeciwnika. Maszyna zamachnęła ręką i w jednej chwili wszystkie jej potwory zniknęły – dosłownie zmieniając się w kupy starego, pordzawionego złomu, czekającego cierpliwie w pełnym blasku reflektorów na wywóz.

Czarna ton nocy beładnie krocząca po usianym kolcami dachu, zagarniająca pod swój gwiazdzisty płaszcz, każde nawet najmniejsze stworzenie, pogłębiła się. W tyle dało się usłyszeć piorun.

Światła nagle zgasły.

Dźwięki bębnow, pędzących kopyt, ale i wycie nadawało temu wszystkiemu groźnego charakteru.

Jake obserwował wszystko bardzo wyraźnie. Kiedy jego oczy przyzwyczały się do ciemności dostrzegł jakiś ruch na przeciwległej platformie.

Wyteżył wzrok i zobaczył stojącą przed sobą *Wielką Mechaniczną Pandę*, smacznie wcinającą zielony liść drzewa eukaliptusowego, o czerwonych oczach i wielkich, mechanicznych łyżkach od koparki zamiast kończyn.

Ogrom tej postaci przewyższał nawet sierociniec chłopaka. Niegdyś najwyższy budynek w miasteczku przy tym zwierzęciu uchodził raczej za pospolity, nieduży, prowincjonalny domek jednorodzinny.

Zresztą i statystyki, i efekt jakim dysponowała *Panda* był czymś, czego Jake najmniej się spodziewał. Specjalna moc niszczyła każdego przyzwanego przez niego potwora bez jakiegokolwiek ataku. A to nie wszystko, mogła dodatkowo wykonać jego wskrzeszenie na polu przeciwnika.

W rezultacie czego Jake pozostaje bez jakiegokolwiek szansy na zwycięstwo, jakiegokolwiek potwora i możliwości odparcia ataku.

W ostatniej turze tak wiele się wydarzyło, że nie miał ochoty na to, aby tym razem coś poszło nie tak. Czyżby był aż tak słaby, że nie potrafi nawet wykończyć swojego przeciwnika? Czyżby w tej właśnie chwili miała nastąpić realizacja tej przepowiedni, której tak bardzo chciał uniknąć dziadek? Nie mógł na to pozwolić. Nie, gdy prawie pozostał sam.

Poderwał się do biegu i zamaszystymi ruchami głowy rozglądał się po całym polu w poszukiwaniu nadziei. Wzrokiem przebiegał przez holograficzne postaci siedzące na trawie. Mijał pary trzymające się za ręce, które zdawało się, że, gdy patrzyły w jego stronę, pozdrawiały go myślami i życzyły mu udanych walk. Gdzieś tam widział także dużego, szczupłego mężczyznę w ogromnym kapeluszu na głowie, w czarnej marynarce, wypucowanych niedawno lakierkach i ze srebrną laską w rękach. Widok całego parku, mimo że w pełni holograficzny, sprawiał wrażenie bardzo realistycznego

Jake ominął odruchowo biegnące koło niego dzieci. Chwycił zwisającą z drzewa nową figurkę. *Tym razem na pewno wygra* – myślał. A przynajmniej tak mu się wydawało, do czasu, gdy nie zorientował się, że jest tak słaba i bezużyteczna, że nawet dziadek powstydziliby się nią grać. Ale nie miał już innego wyjścia. Przystanął i skrył się za drzewem.

Jedno tej grze trzeba oddać. Mimo że wypełniające arenę pola walki były całkowicie skomputeryzowane, holograficzne i wywoływały w głowie człowieka obraz czegoś nie do końca realnego, dawały jednak wiele możliwości ukrycia. Działo to w ten sposób: przeciwnik biegł za drzewo, krzak, cokolwiek, stawał przy tym, a to automatycznie, na czas jakiś stawało się jego azylem, ostoją, bezpiecznym miejscem, gdzie mógł przemyśleć strategię i zaczerpnąć tchu, oczywiście tak długo, dopóki drugi z graczy tego nie spostrzegł i nie spalił miejsca na popiół.

Maszyna rozejrzała się wokół siebie, przybliżyła sobie nieco obraz pozycji przeznaczonej dla przeciwnika i, zorientowawszy się, że nie ma tam nikogo, wykonała lekki skręt w lewo. Spod jej powiewających na wietrze, zniszczonych niebieskich łachmanów, osadzonych niegdyś dla ochrony na korpusie, wysunął się mały pistolet, coś na kształt westernowskiego kowbojskiego rewolweru. W tej samej chwili maszyna oddała serię strzałów w kilka pustych miejsc wśród trybun. Wywołało to niemałe poruszenie. Ludzie znów zaczęli biec, panikować, klękać i błagać olbrzymie monstrum o litość. Kilku nawet samemu skoczyło do rozgrzanej lawy, nie chcąc dłużej czekać na powolną i długotrwałą agonię na palu.

Bali się samej świadomości śmierci. W polu największego rażenia znalazły się w tej chwili tylko kobiety z dziećmi, ponieważ co drugi mężczyzna uciekł albo schowawszy się za kolejnymi miejscami sie-

dzącymi, żył nadzieją, że maszyna go nie zaważy.

Całe to kolejne przedstawienie z następnym ostrzeliwaniem znów miało na celu wywabienie przeciwnika, jego konsternację, a w konsekwencji popełnienie kardynalnego błędu, przekreślającego cały bilans zwycięstw w karierze.

Jake nie mógł uwierzyć w bestialstwo, jakiego dopuszczał się Robociarz, tylko po to, by móc stać się sławnym. Jego żądza wygranej, bo niczym innym udział w turnieju podyktowany zdecydowanie nie był, stała się tak wielka, że nawet cenniejsza od ludzkiego życia. Jake chciał uratować wszystkich cierpiących, poświęcić siebie, ale nie umiał. Klęczał teraz, bezbronny, bez możliwości ataku, bez jakiegokolwiek wsparcia i uderzał głową o pień. Wyrzucał sobie, że w ogóle zaczął grać w tę grę, że poprosił dziadka oto, by nauczał go i przygotowywał do kolejnych potyczek. Do dnia dzisiejszego przekonanie o słuszności dawania ludziom rozrywki okazywała się truizmem, lecz w obliczu tak perfidnego i ohydneho bezczeszczenia godności ludzkiego życia, stawało się raczej nieaktualne. Jedynym, który mógłby się z tego cieszyć, był Hiper-Robociarz.

Został zaatakowany i, tak jak się tego spodziewał, ułożona na szybko akcja obronna nie dała żadnego rezultatu. A, jakby tego było mało, maszyna zdołała na pole przywołać dwa kolejne potwory, zaciekle broniące swego terytorium. Nigdy nie czuł się tak słaby i tak bezużyteczny.

Wyszedł zza drzewa i zobaczył, jak ktoś wspina się po ogromnej maszynie i wchodzi do jej środka.

V

Pete Covensi, powszechnie uznawany za najmądrzejszego człowieka w całym miasteczku, w tej chwili przeżywał niemały dylemat moralny. Bardzo chciał pomóc swojemu przyjacielowi, ale z drugiej strony wiedział, że dla dziesięciolatka jest to zbyt ryzykowne posunięcie. Owszem, potrafiłby zmajstrować co nieco w środku tej olbrzymiej kupy rdzy i sadzy, ale najpierw należało się tam dostać, a na to pomysłu nie miał. Trzeba było dać sygnał Jake'owi, by jakimś nadludzkim sposobem przetransportował go tam, gdzie właśnie zamierzał się dostać. Jednak w obecnej sytuacji, kiedy najlepszy kumpel z podwórka, u którego szkolił się w byciu bardzo dorosłym trzecioklasistą, miał kłopoty i obrywał, powinno się wybrać to drugie z istniejących rozwiązań.

Po za tym to, co zobaczył również nie napawało go zbyt optymizmem. Nie chciał skończyć jak Jejdi czy Craig. Ryzyko było bardzo duże, a szansa powodzenia bardzo nikła. Oznaczało to, że albo da z siebie wszystko albo pozwoli aby oprawca Jake'a zatryumfował.

Zrobił nieśmiało krok do przodu. Nagle jego głowę opłotło tysiące myśli. Wspólne zabawy, przechadzki, rozmowy. Z całej paczki w tej chwili pozostało ich dwóch. Toteż jeśli mu się nie uda będzie musiał liczyć się z tym, że Jake zostanie sam i znów się załamie.

Uważał tego chłopaka za naprawdę fajnego kumpla. Kiedy starsi koledzy dokuczali mu w szkole nie bał się podejść do nich i porządnie ich pobić, tak by więcej go nie zaczepiali. I rzeczywiście skutkowało. Co prawda był raczej typem samotnika pochłoniętego doszczętnie światem książki, ale kiedy przychodziło co

do czego, potrafił odnaleźć w sobie pokłady siły. Za to go najbardziej podziwiał.

Pete szedł wolno otoczony tumanami kurzu niczym poranną mgłą. Widział pulsującą przed nim lawę. Robiło się coraz bardziej gorąco, a do platformy wciąż był spory kawałek drogi. Od czasu do czasu musiał unikać miotanych przez maszynę kul energii, które wystrzeliwane w stronę widowni dawały naprawdę dużo, w tej chwili, tak potrzebnego światła.

Ściemniło się, a więc Pete musiał zdawać się tylko na swój własny zmysł słuchu i ewentualnie przyzwyczaić się do ciemności. Jednak jego oczy, mimo że sprawne przy komputerze i przy odrobinie dziennego blasku, w takich sytuacjach raczej odmawiały mu posłuszeństwa. Kurza ślepotą dopadała go przeważnie w najmniej oczekiwanym momencie. I nawet jeśli był tak młody, miał przecież dopiero dziesięć lat, to już lekarze postawili na niego wyrok. Dużo czasu nie miał, by całkowicie zatracić wzrok. Pozostawało tylko czekać albo na szybkie całkowite ociemnienie, albo na cud.

Pete ubrany był w szarą bluzę z kapturem, zielone trampki, a z jego szyi zwisał medalionik z postaciami świętych. Jego religijność nie pozostawiała złudzeń, tudzież wśród przyjaciół budził często niemalą konsternację i zakłopotanie, kiedy z zegarkiem w ręku odchodził, by zdążyć na co południową mszę.

Mimo ogromnego strachu, w jego oczach dało się dostrzec odwagę, wytrwałość i przede wszystkim gotowość do poświęcenia się dla dobra przyjaciela. Miał misternie obmyślony plan. Jako najlepszemu informatykowi w całym mieście, nie trudno mu było opanować zawiłości wszelkich możliwych kabli, a nawet, po rozmieszczeniu pewnych elementów na ciele maszyny, oszacować, gdzie znajdują się procesory odpowiedzialne za jej funkcjonowanie. Może uda mu się rozmontować je, a w najlepszym razie, wyłączyć to wszystko.

Po chwili zdał sobie jednak sprawę, że nieosłonięty niczym z żadnej strony, łatwo naraża się na strzał. Na swój sposób było mu jej szkoda, ale liczył się tylko Jake, nie inni ludzie, nie cały świat. Jake, który nauczył go, jak zachować męskość w najbardziej niemęskich i upokarzających sytuacjach.

Wdrapał się na duży metalowy słup podtrzymujący platformę, przebiegł przez zieloną komputerową trawę i skrył się za holograficzną, świeżo pomalowaną ławką, która znajdowała się za plecami mężczyzny właśnie orientującego się, że na garniturze pozostała mu zielona plama po nowo nałożonej farbie.

W tych sceneriach tworzonych specjalnie na potrzeby danego pojedynku jakby życie kroczyło własnym rytmem. Było ono spokojne, wolne od trosk, zmartwień, a wszech panująca arkadyjskość i utopia nadały jej obraz krainy lat dzieciństwa, szczęśliwości, piękna i dobra. Jakież było zdziwienie Pete'a, kiedy spostrzegł, że mężczyzna, nawet patrząc się na chłopca, zdaje się mieć pusty, wpatrzony w nicość wzrok. Co jak co, ale hologramów to on jeszcze niestety nie rozumiał.

Kiedy Jake spostrzegł jak wolnym, rachitycznym krokiem zmierza po platformie wroga, od razu rozbudziło w nim się uczucie strachu. Musiał powstrzymać tego dzieciaka za wszelką cenę, w końcu nie mógł pozwolić, aby i jego stracił. Szybko próbował coś wymyślić, nadać każdej nowej idei sensowną formę, ale w jego głowie kotłowało się ich tak dużo, że w końcu żadnej nie zdołał sprecyzować. Gdyby przy odrobinie szczęścia, udało mu się obrócić sytuację na jego korzyść. Wtedy byłby pewien, że maszyna nie skupi się tak bardzo na Pete'cie, jak na nim. Już był prawie gotowy, szykował się do aktywacji potwora na pasie; miał go prawie przyłożonego, gdy zobaczył, jak dziesięciolatek wdrapuje się po stalowej nodze maszyny, otwiera włącznik i wchodzi do jej środka. Był tak zszokowany, że karta figurka mu z ręki. Wirtualny komputer zaakceptował ten przypadkowy, niechciany ruch i arenę ogarnęła ciemność. Zewsząd docie-

rały do uszu publiczności odgłosy syren policyjnych wozów, jakby te ścigały bardzo groźnego przestępcę uciekającego ulicami Nowego Jorku. Gwałtowne hamulce, niebezpieczne zwroty, a nawet strzały sprawiały wrażenie, jak gdyby na żywo uczestniczyło się w planie zdjęciowym dobrego gangsterskiego filmu.

Nagle wszystko wokół pojaśniało a nad stertą żelaza ukazała się jasna, promieniująca barwami tęczy, otoczka.

Na arenie pojawiło się dwóch owianych mrokiem kochanków. W ręce trzymali krzyże, a ich szyje zdobiły medaliony z napisem: *Na zawsze razem – Tristan i Izolda*. Twarze mieli okryte nocą, jedynie czerwone oczy niejako tliły się pośród niej, przypominając małe punkciki, diodki samolotów latających ponad przestrzenią ziemską. Budzili zarówno obrzydzenie jak i strach, ale skrywali w sobie taką moc, że nie powstydziliby się jej nawet najwytrawniejszy gracz.

Chłopak ogarnięty napadem szału, przyływem adrenaliny, nowymi odczuciami, bo teraz miał szansę zwyciężyć, nie zauważył, że mały, dziesięcioletni Pete właśnie sprawił, iż maszyna zaczęła się psuć. Leciały z niej iskry, nawet stalowa głowa, zrobiona dotychczas ze starego szklanego klosza, odpadła i wałała się teraz po piasku niczym samotna muszla na plaży. Jeszcze ostatkami sił chłopak próbował się stamtąd wygramolić, ale już nie zdołał. Kolejne stalowe elementy odpadały i wybuchały. Litery HR zajęły się ogniem, tak jak zresztą i cały korpus. Opadł na dno płataniny kabli i przycisków, w międzyczasie jeszcze je zrywając i naciskając. Ostatnie części spadły na platformę, a Pete wraz z całą pozostałą resztą, siedząc w środku, przyciśnięty stertą kabli i procesorów, osunął się i spadł prosto do kotła z lawą, który teraz znajdował się mniej więcej na wysokości trzeciego rzędu trybun, zabierając ze sobą kolejnych tylko łaknących rozrywki gapiów, którzy gdy wykupili bilet spodziewali się zobaczyć wspaniały pojedynek, a zastała ich jedynie śmierć.

Za cenę swojego życia uratował Jake'a. Tymi małymi, ale zręcznymi rękami spowodował, że tu i ówdzie obwód we wnętrzu złomu został przerwany. A gdy się to zrobi, nie ma szans, aby cokolwiek, zasilane prądem czy baterią, miało prawo działać. Był z siebie zadowolony. Prometejski czyn, choć nie znał znaczenia tego słowa, a tylko słyszał je z opowiadań Jejdi, rozpałił w jego sercu dumę. Stał się bohaterem.

Jego poświęcenie na pewno na marne nie pójdzie.

Wygrał, Jake wreszcie wygrał – myślał Pete, kiedy spoglądał już na świat, unosząc swe lekkie jak piórko ciało. Kłębek duszy, wznoszący się do lepszego świata, witali, machając, Craig i Jejdi.

VI

Słońce zachodziło właśnie za horyzont. Zwycięzca tegorocznych zawodów szedł opustoszałymi już ulicami miasta. W ręku trzymał zdjęcie. Całej swojej paczki przyjaciół. Głowa napęczniała mu już od nadmiaru myśli. Był wdzięczny, a jednocześnie nienawidził kolegów za to, co dla niego zrobili. Trzy osoby z małego, nieznanego nikomu miasteczka oddały swoje życie, by ktoś na drugim końcu globu nigdy nie doznał podobnego cierpienia, jakiemu zostali poddani ludzie na arenie miejskiej. Może i Hiper-Robociarz nie został ujęty, ale na pewno przemieszcza się teraz kanałami ze świadomością, iż są jeszcze na świecie

ludzie, gotowi poświęcić siebie, swoją godność, ciało, by udaremnić nikczemnikom opanowanie świata i wielu pokoleń rozumnych ludzi.

W historii zdarzało się wielu takich, dążących w sposób bardzo brutalny i niehumanitarny do przejęcia władzy, jednak zawsze znalazł się ktoś, dla kogo nie były ważne ziemskie dobra, dla kogo nie liczyło się, co powiedzą inni, a kto mógł i chciał całkowicie podporządkować się bliźniemu.

Teraz Jake miał jedno tylko marzenie. I nie był to powrót jego przyjaciół. Pragnął obwieścić spotkanym osobom to, co się wydarzyło. Idąc, zatrzymywał się przy wielu i z dziecinny, prawie przechodzącym w głęboki śmiech, uśmiechem na twarzy, mówił o swoich przyjaciółach. Myślał też o Bogu, postępującym podobnie jak Craig, Jeidi i Pete. Poświęcił on przecież życie swego Syna, aby ocalić ludzkość od obłudy, fałszu, zakłamania i rosnącego zła. Jake dziękował Mu za to, iż zapewne przyjął przyjaciół w szeregi swoich anielskich zastępów. Duszy dziadka co prawda nie odzyskał, jednak był przekonany o słuszności tego, co zrobił. I, gdyby Kawasi miał taką możliwość, na pewno pogratulowałby mu dobrego wyboru.

Ostatnim postanowieniem Jake'a, zanim znów wyruszy w kolejną podróż, było przyrzeczenie niesienia ludziom pomocy, poświęcania się dla dobra społeczności. I nawet teraz woli podejść do dziecka nieśmiało wycierającego oczy od łez, z przestrachem patrzącego na szesnastolatka, nieogarniającego swym rozumowaniem realiów świata, woli podejść i pobawić się z maluchem niż sprawić mu przykrość. Odda swój cenny czas dziecku, te kilkadziesiąt minut, może godzinę, by znów na jego twarzy zagościł rumieniec radości.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Krystiansuper25, dodano 03.03.2017 09:23

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.